Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

WIR ŚWIATA
tygodniowa rewja prasy

№ 17 — CENA 40 gr.
WARSZAWA
11-VIII-1934 R.

DZIŚ W NUMERZE:

HITLER IMPERATOR

Przysięga na wierność wodzowi

Armja złożyła przysięgę Führerowi, niby nowemu imperatorowi. Za czasów drugiej Rzeszy żołnierze i marynarze przysięgali wierność tylko państwu.

Dziś Hitler może śmiało powiedzieć „Państwo — to ja", gdyż jest naczelnem bóstwem nowego obrzędu. O Państwie się nie wspomina. Donoszą z Berlina, że ci, którzy byli świadkami tej niecodziennej uroczystości, nie zapomną przez całe życie tego, co tutaj widzieli.

We wszystkich garnizonach dnia 2 sierpnia o godzinie 5-ej popołudniu żołnierze ustawili się w czworoboki, zostawiając jeden bok otwarty. W środku pułkownik podnosi prawą rękę do przysięgi. Za nim wszyscy robią to samo. Pułkownik recytuje głośno rotę przysięgi:

„Przysięgam uroczyście na Boga, słuchać zawsze i bez zastrzeżeń Führera Rzeszy niemieckiej i narodu niemieckiego, Adolfa Hitlera — komendanta-wodza armji i floty niemieckiej. Przysięgam, że będę zawsze wzorowym żołnierzem, gotowym oddać swe życie dla dotrzymania tej przysięgi".

Żołnierze powtarzają chórem słowa przysięgi, które zlewają się w potężny huk grzmotu. „Przysięgam" — woła pułkownik. — „Przysięgam" — odzywa się z szeregów grzmiącem echem. „Hurra" — woła pułkownik, i znów jak echo zrywa się z szeregów potężne, trzykrotne: hurra! hurra! hurra!

Potem następuje krótka przerwa i wnet rozbrzmiewa podjęta chórem pieśń: „Deutschland über alles". Potem znowu wyprężenie na baczność i z tysiąca gardzieli płynie szeroko „Horst-Wessel Lied".

— Rozejść się! Uroczystość skończona.

Hitler, który lubi spontaniczne manifestacje i upaja się niemi, niby dymem kadzideł, będzie miał tym razem doskonałą okazję do samozachwytów. Jeszcze większa owacja czeka go we wtorek, kiedy będzie przemawiać na pogrzebie marszałka w Tannenbergu, wśród murów i wież, które widziały pamiętne zwycięstwo z 1914 r.

„L'Echo de Paris", Paryż.



Prezydent Hindenburg marszałek v. Maekenzen i szef Reichswehry gen. Blomberg na rewji wojskowej.

Skończyła się rola Reichswehry

Niemcy nie miały czasu zastanowić się nad swoją przyszłością. Rezolutni ludzie jeszcze raz urobili opinję narodu wedle swoich dążeń.

Ostatnie wypadki przyniosły wielką nieobliczalną zmianę w sytuacji wewnętrznej Niemiec. W przeszłości bardzo wielu niemców — umiarkowani ludzie w obu kościołach, należący do biernej opozycji, politycy, którzy stali poza nawiasem nazizmu — pokładało swoje nadzieje w niezależnej apolitycznej Reichswehrze, podległej Hindenburgowi. Armja zawsze była tym decydującym argumentem, gotowym do interwencji w każdej chwili, gdyby sprawy wzięły zły obrót. Wystarczyło tylko bierne i negatywne stanowisko Reichswehry, by spowodować katastrofę tych przywódców S. A., którzy próbowali nad nią się wywyższyć. Teraz wszystko się zmieniło. Reichswehra, która przez piętnaście lat trzymała się zdala od polityki, nigdy nie zwróci się przeciwko swojemu główno-dowodzącemu! to nie jest siła zdolna do wojskowych zamachów stanu, do powoływania lub strącania prezydentów czy Reichsführerów.

„The Times", Londyn.

Będzie rządził, o ile...

Wśród uczuć, jakie budzi osoba Hitlera, wysuwa się dzisiaj na pierwszy plan uczucie ciekawości. Ciekawość specjalnego gatunku, jakiej doznaje tłum, mający przed sobą akrobatę, który podjął się trudnej sztuki. Tej godziny, kiedy runą wszystkie zapory, kiedy ten „drugi" ustąpi wreszcie, oczekiwał Hitler już od dawna. Przed przymierzem z roku 1933, kiedy to stary marszałek musiał z niechęcią stawać, jako obrońca socjalizmu, nim stanął po stronie nazi — obaj mężowie stanu spotykali się często. Obaj stanęli jako rywale do tytułu prezydenta Rzeszy. W dniu tym Hitler powiedział: „Marszałek ma 85 lat, ja tylko 43..." Wiedział dobrze, że czas prędzej czy później zrobi swoje.

Z tytułem czy bez, Hitler jest dziś panem sytuacji. Wszechmocnym? Tak! — o ile naturalnie ofiary 30-go czerwca nie znajdą swego mściciela, o ile na czele Reichswehry nie stanie inny człowiek, o ile Schacht, dyktator finansowy Niemiec, podoła swemu wprost beznadziejnemu zadaniu, o ile...

„Le Jour", Paryż.

Wszechmocny Hitler

Hitler, Führer został wyniesiony na najwyższy szczyt. Dziś niema już ponad sobą nikogo! To nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Przedtem mówiono jeszcze, że ma za sobą Hindenburga, najwyższą gwarancję umiarkowania i umiaru.

To też dziś posypały się pytania ze wszystkich stron. Organy prasowe, które wyrażają nadzieje i niepokoje wszystkich narodów pytają nie bez troski: co zrobi Hitler obdarzony tak nieograniczoną i niczem nieskrępowaną władzą?! Czy jedyny pan i władca dzisiejszych Niemiec, mający za sobą szanowny cień starego marszałka, odważy się na jaką nową awanturę?

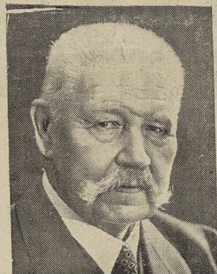
Jakie myśli i plany tkwią w mózgu Reichsführera? Wiedzieć o tem z całą dokładnością będzie może za trudno, bo człowiek mający taką władzę jak Hitler nie zwierza się łatwo ze swych myśli byle komu.

Dlaczego jednak nie wyciągnąć pewnych wskazówek ze sposobu, jakiego użył Hitler do połączenia całej władzy w swojem ręku? Tu rzuca się przecież w oczy oryginalny styl jego postępowania z ostatnich dni. Spostrzeżenia i krytyki na ten temat są naogół banalne. Hitler pożądał całej władzy dla siebie. To było wiadome. To też nic dziwnego, że skorzystał z nadarzającej się okazji.

„Le Petit Journal", Paryż.

Hindenburg człowiek służby

(Artykuł ten ma swoją historję. Napisany jeszcze w roku 1925 przed pierwszym wyborem Hindenburga na prezydenta Rzeszy, wywołał on w Niemczech gwałtowną burzę i oburzenie. Przedrukowujemy go obecnie, czynimy to dlatego, że oświetla nietylko postać tego człowieka trzech epok państwa niemieckiego, który już za życia był mitem i legendą, lecz przedewszystkiem dramatyczny okres jego dwukrotnej prezydentury i tego, co po nim przychodzi.)



Jeżeli się spojrzy w dobrotliwe, ojcowskie oblicze starego Hindenburga, uderza przedewszystkiem straszliwa prawie ociężałość tej twarzy. Znam tę twarz od lat młodzieńczych. Oglądałem ją często z uśmiechem, często z czcią, zawsze ze wzruszeniem.

Bismark kiedyś pięknie o sobie powiedział: „Z całą świadomością zatrzymałem się na pewnym stopniu rozwoju". Tego stary Hindenburg nie potrzebował mówić. Natura stworzyła go tak prostym, tak prostolinijnym, że nie było w nim nic, coby się miało rozwijać; tu był możliwy tylko spokojny rozwój wrodzonych przesądów. Niemiec, prusak, chrześcijanin, monarchista, żołnierz, towarzysz broni, przynależny sposobem życia i poglądami na świat do tej schludnej powściągliwej warstwy społecznej, która swoje normy życiowe znajdowała w „Małym Almanachu Gotajskim" i w „Tabeli Rang"; wszystko było tak zrozumiałe samo przez się, tak ponad wszelką wątpliwość oczywistą, że ludzie, którzy inaczej czują, robią wrażenie chińczyków, lub czcicieli Buddy. To wszystko może istnieć, ale „to przecież nie jest to".

I kiedy on powie „My" i doda zaraz potem, my, niemcy, zakłada zgóry w całej szczerości ducha i uczucia, że właściwie wszyscy uczciwi i porządni ludzie powinniby być tak według almanachu gotajskiego i tabeli rang.

Któż bardziej od niego nadawał się na fetysz, na posąg, na symbol? Choć znałem tę postać bohatera, który nawiasem mówiąc, dla „ideału" więcej ludzi na śmierć wysłał niż Aleksander, Cezar lub Attila, choć ta dobra, ciężka pokornie wierna twarz była mi znana oddawna, mogłem dopiero później poznać w całej pełni prostotę i świętość tej figury dziejowej.

Było to w jedną z rocznic bitwy pod Tannenbergiem. Zastępowałem wówczas jednego z nauczycieli gimnazjalnych w tem mieście. Szkoły miały przedefilować z pieśnią „Deutschland, Deutschland über alles" przed domem, który miasto Hindenburgowi ofiarowało jako dar narodowy. Setki rozentuzjazmowanych dzieci przechodziły w towarzystwie swoich nauczycieli przed tym sędziwym mężem, który stał ciężki i poważny na stopniach swojej willi. Mieliśmy szczęście stać bezpośrednio za nim, w chwili, kiedy podniósł rękę i wygłosił serdecznie ciepłe przemówienie do młodzieży. Chciałbym jeszcze raz przeżyć tę chwilę; tę mieszaninę uczuć komizmu i wzruszenia, tę chwilę zupełnego osamotnienia i dzielenia przeżyć z wszystkiemi dziećmi, serdeczny śmiech swawoli i głęboką pokorę, przedewszystkiem jednak moje zdumienie, albowiem takiego stopnia dziecinności nie mogłem nietylko się spodziewać, ale nawet przypuszczać, że coś takiego istnieje.

Hindenburg (staliśmy oko w oko) mówił z największem przeświadczeniem i z najgłębszą powagą:

„Niemcy leżą pokonane. Wspaniałe czasy cesarza i jego bohaterów minęły. Ale te dzieci, które tu śpiewają „Deutschland über alles" odnowią dawną Rzeszę. One przezwyciężą najstraszniejszą rewolucję. One znowu ujrzą cudowny czas wielkich zwycięskich wojen. A wy, Panowie Nauczyciele, Wy spełniacie szczytny obowiązek, wychowywać młodzież w tym duchu (bachory szarpały mię za palto). Wy zaś moi mili pierwszoklasiści wkroczycie zwycięsko do Paryża jak ongiś ojcowie. Ja tego nie dożyję i będę już wtedy u Boga. Ale z Nieba będę patrzył na was, będę się waszemi czynami radował i będę Wam błogosławił."

To wszystko powiedziane głęboko, święcie poważnie! Czuło się; że ten stary mąż wierzy w każde słowo, które wypowiada. wierzy z całą powagą: że po śmierci pójdzie do Boga; że będzie siedział na obłoczku, że będzie z uprzywilejowanego miejsca oglądał Niemcy i błogosławił moim zwycięskim uczniom.

Największy trzpiot śród nich narysował po tem „historycznem przeżyciu" obrazek: Hindenburg jako anioł w obłokach błogosławi naszej pierwszej klasie. Łatwoby było ten żart przejaskrawić, lecz (a to jest zastanawiające) nie było śród nas jednego, któryby się nie poczuł tym dowcipem dotknięty. Czuliśmy, że jest nierycerskie, nikczemne walczyć orężem ducha tam, gdzie wogóle nie zachodziła możliwość odparowania ciosu tą samą bronią.

Ale nawet w sferach tej pruskiej szlachty, której potrzeby duchowe są zupełnie zaspokojone w dzień powszedni przez „Kreuzzeitung", a w niedzielę przez kazanie pana pastora, nawet w tych kołach przejętych hierarchją urzędowych stanowisk, taka obcość ducha nie jest częstem zjawiskiem. Kiedy Hindenburg zajmował w Oldenburgu stanowisko komendanta placu, przyjaciel mój z lat młodzieńczych, Wilhelm Jordan, jeden z największych i najlepszych mężów Niemiec, organizował w tem mieście, w „Towarzystwie literackiem" rapsodję Nibelungów. Zwrócono się do Hindenburga z prośbą, by objął nad tą imprezą protektorat. Na to Hindenburg odpowiedział listem, w którym zaznaczył, że jako wojskowy nie miał czasu na studja literackie i nie może przeto osądzić pożyteczności danego przedsięwzięcia.

Nielada objaw barbarzyństwa chyba, by jako niemiec nie znać Nibelungów, ale dowodzi to także rzadkiej uczciwości i żołnierskiej czystości charakteru, jeżeli się ktoś do tego przyznaje. Jest on naturą jasną, rzetelną, nawskroś prawdą przejętą, naturą na której można polegać. Nie zna problematyki, a tem mniej fałszu.

Lecz w chwili, kiedy nadużywa się do tego człowieka nawskroś niepolitycznego do celów politycznych, jedno zasadnicze nasuwa się zagadnienie: ten mąż jest z natury swej człowiekiem służby. Człowiek tego pokroju, co Hindenburg, będzie do końca życia pytał „komu mogę służyć?" Platon nauczał, że państwami winni rządzić filozofowie. Z Hindenburgiem na fotelu prezydenta filozof napewno nie zasiądzie. Tylko reprezentatywny symbol, znak zapytania, zero. Powie ktoś, lepiej zero niż Nero. Niestety, historja nas poucza, że za zerem stale się ukrywa Neron.

Theodor Lessing,
„Prager Tageblatt", Praga.

Wojsko i polowanie

By słusznie ocenić działalność prezydenta Hindenburga, należy we wszystkich okresach jego prezydentury uwzględniać przedewszystkiem jego indywidualność. Istniały właściwie tylko dwie dziedziny, dla których on miał rzeczywiste zainteresowanie: wojsko i polowanie. Wszystkie jego pozaurzędowe rozmowy obracały się dokoła tych tematów, oczywiście jeżeli wybór tematu wogóle od niego w danym wypadku zależał.

W decyzjach politycznych był on zupełnie skazany na sprawozdania swoich doradców. Jak długo kanclerz i ministrowie radzili mu uczciwie, tak długo był on na tyle poinformowany, by móc z czystem sumieniem powziąć decyzję. Do tego dołączał się fakt, że posiadał dosyć instynktu i sporo zdrowego rozsądku, by móc sobie na podstawie relacyj ministrów urobić własny sąd o sprawach.

Wbrew tradycji swoich poprzedników, p. v. Papen, aby przeprowadzić obalenie Schleichera i nominację Hitlera na kanclerza, wciągnął swoim zwyczajem, prezydenta w sieć intryg. Otoczenie prezydenta, częściowo nawet jego rodzina dławiły się w tych intrygach. Kanclerz Hitler mógł, właśnie dzięki temu, że wiedział o tych intrygach — i nie dzięki temu tylko — kierować decyzjami prezydenta wedle swoich własnych planów i celów. Przytem Adolf Hitler sam często był igraszką w ręku innych, i był popychany tam, gdzie sądził, że drugich popycha. Dlatego nie należy spodziewać się po śmierci Hindenburga istotnych zmian w niemieckiej polityce wewnętrznej, czy zagranicznej.

Ewentualne zmiany mogą dotyczyć najwyżej form aktów politycznych. Bo tu działało naturalne poczucie taktu starego prezydenta aż do ostatniej chwili. W kwestjach taktu i w stosunkach osobistych był feldmarszałek bardzo wrażliwy.

„Pariser Tageblatt", Paryż.

Hindenburg jako pacjent

Hindenburg w ostatnich tygodniach wzbraniał się zezwolić na wprowadzenie kateteru, mimo że lekarze go o to usilnie prosili, zapewniając, że jest to jedyny sposób, któryby mógłby spowodować pewną ulgę w jego cierpieniu.

— Wnet się polepszy, panie prezydencie, jeżeli pan się tylko nie będzie opierał — mówili lekarze, lecz sędziwy pacjent stale odpowiadał:

— Właśnie nie trzeba by się polepszyło.

Ten upór przyczynił się, zdaniem lekarzy, w znacznej mierze do przyśpieszenia katastrofy.

„World Telegram", Nowy Jork.

Gest i słowo Hindenburga

W r. 1925, jak wiadomo, Hindenburg obrano prezydentem Rzeszy. W związku z tem złożył on obowiązującą przysięgę, że będzie święcie przestrzegał wszystkich przepisów wajmarskiej konstytucji.

Skończywszy rotę przysięgi, dodał zaraz, potem drżącym głosem:

— Jeżeli Bóg sobie tego życzyć będzie.

„Wozrożdżenie", Paryż.

Hitler imperator

Nie mieli czasu zastanowić się

Głęboko przejęty serdecznym żalem za wodzem, który stał wysoko ponad nienawiścią polityczną czasów powojennych, naród niemiecki nie miał prawie czasu zdać sobie sprawy ze znaczenia objęcia władzy prez. przez Hitlera.

Nagół panuje zdanie, że fakt, iż Reichswehra zgodziła się na Hitlera, jako na swojego najwyższego dowódcę, odsunął ewentualność rewolucji w ciągu najbliższej zimy. Nie ulega wątpliwości, że Reichswehra będzie wywierała silny i decydujący wpływ na politykę kanclerza.

Snuje się wiele domysłów na temat przyszłego następcy Hitlera, którego on sam ma zamianować. Osoba powołana na to stanowisko, umożliwi światu zorjentowanie się co do charakteru przyszłej polityki Hitlera.

„The Morning Post", Londyn.

Dowód słabości

Skupił w swem ręku władzę całkowitą i pełną, nie oglądając się na to, co będzie po nim, co stanie się z Niemcami, gdy go zabraknie. Jest wprawdzie młody, znacznie młodszy od innych dyktatorów. Ale nie to tylko, nie to przedewszystkiem skłoniło go, sądzimy, do czwartkowego zamachu stanu. Fakt, że Hitler sięgnął po pełnię wszelkiej władzy, po najwyższą godność w państwie jest dla nas dowodem słabości dyktatury i początkiem końca. Widocznie nie wystarcza już autorytet moralny. Trzeba go wzmocnić tytułami prawnemi, przysięgami wierności. Pośpiech, z jakim dokonano zamachu stanu z poważną stratą dla jego wartości prawnej, zdradza ten faktyczny stan rzeczy.

Hitler czuł się niepewny i dlatego musiał się pospieszyć zanim ochłoną z wrażenia, wywołanego śmiercią Hindenburga te wpływowe w Niemczech czynniki, które na Hitlera wciąż patrzą, jak na uzurpatora, zanim mogłaby wobec jego zamiarów zająć stanowisko Reichswehra. Czwartkowy zamach stanu nie jest dowodem siły dyktatury, lecz jej słabości. Brzmi to paradoksalnie, a jednak sądzimy, że odpowiada rzeczywistości i jest logicznym skutkiem tak niedawnego dn. 30 czerwca, mordu wodzów S. A., który odsłonił słabe strony rządów Hitlera.

Jest to zarazem zły prognostyk na przyszłość. Dyktatura w Niemczech utrwala się formalnie — ale czy to wystarczy? Czy wystarczy na długo? Czy stan faktyczny nie rozsadzi znów form prawnych, jak to już było w tylu wypadkach? Wewnętrzne przemiany w Niemczech nie są zakończone i stan wrzenia utrzymuje się w dalszym ciągu.

„Wieczór Warszawski", Warszawa.

Reichswehra contra Legjon Austrjacki

Nocy z piątku na sobotę władze miejscowe w Kufsteinie dowiedziały się, że planowane jest wkroczenie legjonu austrjackiego na teren republiki. Natychmiast przedsięwzięto odpowiednie środki bezpieczeństwa, które jednak okazały się zbyteczne, albowiem żadna akcja nie nastąpiła.

Jak się potem dowiedziano, Reichswehra przeciwstawiła się legjonistom, wzięła ich do niewoli, rozbroiła i odesłała do Monachjum. Przytem po stronie legjonistów miało być sporo ofiar. Granica niemiecko-austrjacka jest z tego powodu na odcinku Kufsteinu zamknięta.

„Prager Tageblatt", Praga.

Złe przeczucia

Podczas pogrzebu dziennikarza niemieckiego, zmarłego w Rzymie, p. von Hassel, ambasador niemiecki przy Kwirynale, wygłosił nad grobem przemówienie, które swoim tonem Kasandrowym nie mogło nie wywołać zdumienia śród obecnych.

Głęboko wzruszony von Hassel w ten sposób zakończył swoje przemówienie:

— Opłakujemy cię, a równocześnie zazdrościmy ci z całego serca. Zaiste, twój los nie był zły, bo ty odchodzisz zawczasu, by nie widzieć tych strasznych chmur, które zbierają się nad naszem niemieckiem niebem, ani czasów tragicznych, ku którym nasze przeznaczenie nas wiedzie.

„Aux Ecoutes", Paryż.

Życie prywatne władców

Mówi się zwykle: „szczęśliwy, jak król". Szczęście to jest raczej przysłowiowe i jest tylko próbą urządzenia życia na wzór tego, jakie prowadzi przeciętny obywatel. Te szkice o życiu prywatnem władców Europy oparte na wiarygodnych źródłach są pracą korespondentów pism zagranicznych, akredytowanych w stolicach poszczególnych państw Europy. Mają one na celu postawić przed oczy czytelnika możnych tego świata, odartych z blasku oficjalnej etykiety, pokazać ich, jak żyją w otoczeniu rodziny, przyjaciół, oddani lekturze i rozrywkom — choćby takim jak radjo.

Przekonamy się, że życie to wyjąwszy niebezpieczeństwa związane z wysokiem stanowiskiem nie odbiega daleko od życia przeciętnego obywatela kraju.

I. Król Karol rumuński

Los tego króla nie jest godny zazdrości. Pominąwszy już to, że żyje stale pod groźbą zamachu bombowego, zdradzieckiej kuli, sztyletu lub trucizny, stale jest wystawiony na krytykę społeczeństwa, podobny w tym wypadku do wystawy wspaniałego magazynu — przed którym wolno zatrzymać się każdemu. Jeśli władcą jest człowiek młody, gorącego serca — a takim jest właśnie król Karol —



Król Karol z synem Michałem

musi prowadzić życie podwójne. Inaczej nie byłby w stanie zachować równowagi duchowej. To też w życiu Karola rumuńskiego można rozróżnić dwa niejako rozdziały: życie króla i życie człowieka.

Jako król jest przedewszystkiem żołnierzem; brwi ma groźnie ściągnięte, zawsze jest w mundurze i do przesady jest skrupulatny w zachowywaniu wszelkich ceremonjałów dworskich.

Dzień króla zaczyna się o godzinie ósmej rano. O tej porze majordom w błyszczącej liberji puka delikatnie do drzwi sypialni królewskiej i podaje królowi kawę na złotej tacy. Czynność bardzo delikatna, bo wymaga asysty aż czterech paziów w czerwonych liberjach. Następnie król bierze ranną kąpiel i udaje się do jadalni, gdzie spożywa śniadanie w towarzystwie swego syna, księcia Michała, liczącego obecnie lat dwanaście.

O godzinie dziewiątej rozpoczyna się praca oficjalna. Król pracuje stale w wykwintnie urządzonej bibljotece, graniczącej bezpośrednio z jego apartamentami prywatnemi. Najpierw przyjmuje szambelana dworu i adjutantów, którzy składają mu szczegółowe raporty. Audjencja rozpoczyna się o godzinie jedenastej i trwa do godziny pierwszej, a potem przychodzą inne zajęcia, związane z rządzeniem wielkiego kraju.

Wieczorem, gdy wybije siódma, następuje metamorfoza. Król wraca do swoich apartamentów, a człowiek, który z nich wychodzi po chwili, jest już zwyczajnym człowiekiem. Młody, przystojny mężczyzna, w dobrze skrojonem ubraniu, w miękkiej sportowej koszuli; krawat swobodnie związany. Jest wesoły. Gwiżdżąc lub nucąc wesołą melodję przebiega szybko przestrzenne korytarze zamkowe i zwraca swe kroki do pokoju syna. Zamienia z nim kilka słów, życzy dobrej nocy i odchodzi.

Stąd do garażu — i wnet opuszcza pałac w skromnem torpedo. Starannie omija aleje, w których rozstawione są warty pałacowe i lawirując bocznemi uliczkami, znika wśród drzew wspaniałego ogrodu, otaczającego zaciszną willę. Tu prowadzi Karol wykwintne życie, dające się porównać do egzystencji bogatego przemysłowca, który po całodziennym trudzie wraca do boku kochającej żony, i w dobrobycie pędzi beztroski żywot bogacza.

Pani Lupescu jest kochanką króla już od lat dziesięciu. Stosunek ich pozostał do dziś dnia niezmieniony wbrew wszystkiemu i wszystkim. Razem spożywają kolację, przygotowaną pod osobistem kierownictwem pani Lupescu. Tak spędza miły wieczór na lekturze, słuchając radja, czasem na długich wędrówkach wgłąb olbrzymiego parku, lub zwyczajnie, siedząc w fotelu, na rozmowie z zaproszonymi przyjaciółmi.

Nie uchybia też w niczem obowiązkom wzorowego syna. Co soboty spożywa kolację w towarzystwie królowej-matki Marji. Cały wieczór spędza w jej rezydencji w pałacu Cotroceni. Towarzyszami stołu są wtedy najczęściej książę Mikołaj i ekscesarzowa Grecji Elżbieta.

Niedziele poświęca młodemu księciu Michałowi. Po wyjściu z kościoła, król, Michał i kilku jego kolegów z liceum siadają razem do śniadania i bawią się w najlepsze. Koledzy młodego księcia pochodzą z rozmaitych środowisk społecznych, ale w obecności króla zachowują się całkiem swobodnie. Karol, — człowiek — jest zapalonym miłośnikiem sportów, niestety stanowisko króla nie pozwala mu oddawać się im, jakby tego pragnął. Zato kiedy udaje mu się zapewnić dzień albo dwa wyłącznie dla siebie, spieszy na polowanie, skąd wraca zwykle z rezultatem, jakiego mogliby mu pozazdrościć najlepsi myśliwi.

II. Horthy—regent węgierski

Admirał Mikołaj Horthy prowadzi życie stosunkowo skromne, w głębi wspaniałego pałacu królewskiego, zbudowanego w XVIII-ym wieku przez królowę Marję.

Wstaje stale o godzinie siódmej rano i rozpoczyna dzień od gimnastyki: jazdy konnej, szermierki lub pływania. O godzinie wpół do dziewiątej zasiada do stołu w towarzystwie żony. Śniadanie nadzwyczaj skromne: kawa i chleb z masłem. Po śniadaniu kąpiel ranna, następnie admirał czyta nadesłane listy i dzienniki poranne. O dziesiątej przyjmuje członków gabinetu cywilnego i wojskowego, którzy składają mu szczegółowe sprawozdania o ważniejszych wypadkach politycznych, wojskowych i administracyjnych. Następnie przyjmuje na audjencji do godz. 1.30 ministrów, generałów, dyplomatów i wybitne jednostki wezwane przez niego.

Obiad admirała jest równie skromny jak śniadanie: rosół, ryba albo mięso, jarzyny, deser, czasami wino lub kawa. Horthy jest zwolennikiem kuchni francuskiej i jego żona za rządza osobiście gospodarką pałacową. Co dziennie wzywa do siebie nadwornego kucharza i wydaje mu szczegółowe polecenia.

Po obiedzie admirał używa w towarzystwie żony spaceru po parku, leżącym tuż nad Dunajem. Od czwartej do ósmej pracuje zwykle w gabinecie. O tej porze podają mu podwieczorek, podczas którego słucha radja albo czyta dzienniki, jak zwyczajny śmiertelnik. Często odwiedza z żoną operę i teatry.

Lato spędza przeważnie wpobliżu Budapesztu, w pałacu Goedoello, otoczonym zewsząd lasami. Czas wolny poświęca na polowanie i samotne wycieczki.

Szczęśliwe chwile spędza władca Węgier w towarzystwie swoich rozkosznych wnucząt, Nicoletty i Zofji, liczących jedna pięć a druga sześć lat, córek jego starszego syna Mikołaja. Kiedy przychodzą w odwiedziny, sadza je na kolana i opowiada ekscentryczne historje z czasów jego podróży na Daleki Wschód. Opowiadać umie dużo i ciekawie; szczególnie historje i anegdoty z dworu Franciszka Józefa, którego adjutantem był podczas wojny. Prawdziwą jednak pasją starego wilka morskiego jest malarstwo i rzeźba. Maluje z zamiłowaniem pejzaże morskie, w których wyraża nostalgję i smutek szerokich przestrzeni.

Od roku 1919, to jest od czasu mianowania go regentem Węgier, Horthy nie widział morza i nie opuścił ani razu Węgier.

Starszy syn admirała, Mikołaj, poślubił hrabinę Consuelę Karolyi, córkę szlachcica węgierskiego, z którą rozwiódł się po trzech latach współżycia. Obie wnuczki wychowują się pod okiem matki, często odwiedzają swego dziadka.



Drugi syn, Stefan, jest inżynierem największej fabryki węgierskiej. Odbył on dłuższą praktykę w fabryce Forda w Detroit. Regent ma jeszcze córkę Paulinę, która jest żoną Juljusza Karolyi młodszego, szwagra Mikołaja.

Horthy nosi stale mundur admiralski dawnej floty austrjacko-węgierskiej. Był jej szefem podczas wojny światowej i wsławił się wtedy zwycięstwem, jakie odniósł z małą grupą pancerników nad wiele liczniejszą flotą włoską wpobliżu Otrante. Podczas tej bitwy został ciężko ranny, lecz nie opuścił stanowiska przed ostatecznem zwycięstwem. Pani Horthy, mimo swych siwych włosów, jeszcze urocza i pełna energji, jest duszą komitetów społecznych. Stale przewodniczy organizacjom dobroczynnym, mającym na celu ulżenie ciężkiej doli bezrobotnych.

III. Borys król Bułgarji

Borys, król Bułgarji, monarcha, liczący obecnie czterdzieści lat należy do władców „najwcześniejszych", gdyż wstaje zazwyczaj o pół do siódmej, a jeśli wymagają tego ważne sprawy państwowe, jest na nogach już o godzinie piątej.

Po skończeniu toalety spieszy do pokoju córeczki, księżniczki Marji-Ludwiki. O dziewiątej pracuje już w swoim gabinecie, który opuszcza dopiero o pierwszej.

Należy do typu skrupulatnych urzędników i nie podpisze żadnego dokumentu, zanim nie przestudjuje go dokładnie. Szczególnie ostrożny jest, gdy chodzi o apelację skazanego na śmierć, waha się długo, zanim coś postanowi.

O godzinie pierwszej podają obiad, do którego monarcha zasiada w towarzystwie żony i małej księżniczki. Król Borys jest zwolennikiem potraw niewyszukanych, przeważnie jarzyn, i jego menu nie różni się niczem od tych, jakie można spotkać w przeciętnym domu bułgarskim. Zawsze jest więcej jarzyn, niż mięsa, wyjąwszy uprzywilejowany przysmak narodowy: pieczeń cielęcą lub z jagnięcia.

O trzeciej jest znowu przy pracy, od której nie odrywa się aż do wieczerzy. Królowa Joanna i szwagierka księżniczka Eudoksja są mistrzyniami sztuki kulinarnej. To też często, kiedy król przyjmuje u siebie przyjaciół, woła z dumą:

— To ciastko jest dziełem mojej żony!

Do najmilszych rozrywek króla należą bridż i szachy. Wielką przyjemnością są dla króla dzienniki. Szczególnie wydawnictwa humorystyczne. Zawsze jest pobłażliwy na dobry dowcip, nigdy natomiast nie zniósłby wulgarnej poufałości albo nietaktu.

W chwilach wolnych od zajęć państwowych, król Borys jest światowcem w pełnem tego słowa znaczeniu. W świecie jest znany, jako doskonały kierowca, mechanik. Uchodzi za mistrza szybkiej jazdy i zawsze sam prowadzi swój wóz.

Do innych sportów, uprawianych przez króla, należą: narty, łyżwy, sport pływacki, jachting, wioślarstwo.



Król Borys

Ale opowiadają, oczywiście w tajemnicy, że ostatnim sportem, któremu Borys oddaje się ostatnio najczęściej, jest jazda konna. Ma on polegać na tem, że król oddaje swoje plecy do dyspozycji wiele wymagającego jeźdźca, jakim jest jego mała córeczka Misza. Jest to zapewne najbardziej nużący ze wszystkich sportów. Cóż, kiedy król nie może się oprzeć despotycznym okrzykom małego tyrana. Kiedy ojciec jest już zupełnie wyczerpany, mała księżniczka pozwala mu odpocząć na chwilę, pod warunkiem, że pójdzie z nią do ogrodu bawić się „w której ręce"?

Król Borys, chociaż wywodzi swój rodowód z dwu rodzin królewskich, sask ej Koburg-Gotha i Burbonów francuskich jest stuprocen-

(Dokończenie na str. 8)

Amerykanin podróżuje przez Rosję w „twardym" wagonie

Dzwonek stacyjny obwieszcza dopiero zbliżanie się pociągu, a czekające tłumy — kobiety z krzyczącemi dziećmi, wieśniacy, uginający się pod ciężarem worków, robotnicy obładowani przewiązanemi sznurem pakunkami — tłoczą się już w niebezpiecznej bliskości szyn. Minuta, żeby pozwolić wydostać się z wagonów wysiadającym — i już, plącząc się między bagażami, z paką pościeli na przedzie, walizkami i koszykami z żywnością stylu, pasażerowie niezdarnie gramolą się na wąskie stopnie „twardego" wagonu.

W Rosji istnieją także „miękkie" wagony, odpowiadające europejskiej drugiej klasie, ale spośród miljarda pasażerów, przewożonych rocznie przez sowieckie koleje, tylko 15% — cudzoziemcy, członkowie Partji komunistycznej, agenci GPU, oficerowie Czerwonej Armji — mają przywilej podróżowania aż tak wygodnie. Wszyscy inni podróżują „twardo".

Wąskie drewniane drzwi, śmieszne ustępstwo na rzecz wygody, dzielą wagon na trzy przedziały, zawierające po dziewięć drewnianych ławek, których oparcie można podnosić. Trzecia, wysoko umieszczona, półka przeznaczona jest na bagaż, ale nierzadko służy dla „extra" pasażerów. Pociągi są zawsze przepełnione.

Przejście w środku, w którem zaledwie pomieścić się może jedna osoba, zapełnia się odrazu podróżnymi. Powietrze pełne jest hałasu — podnoszenia górnych siedzeń wgórę, krzyków i podnieconych wołań pasażerów, wrzasku dziecka, skrzypienia butów, stukania kuferków o drewnianą podłogę, i pełne jest ciężkiego i przygniatającego zapachu przepełnionych mieszkań.

Kiedy pociąg rusza wreszcie ze stacji, w przedziale panuje już jako taki porządek. Gwar zamienił się w przyciszony szept rozmów, który zlewa się ze stukiem kół. Siatki na bagaż załadowane są aż pod sufit. Odpakowano pościel. Każda ławka czy górna półka służy jako swoisty „sleeping" dla jednej skurczonej osoby lub dla matki z dzieckiem.

Łatwość i szybkość, z jaką pasażerowie potrafią rozgościć się w wagonie, zadziwia cudzoziemca. Ale nie trzeba zapominać, że jesteśmy w Rosji, gdzie cały naród jest zarażony gorączką zmiany miejsca pobytu, gdzie ludzie przyzwyczajeni są do życia w ruchu.

Wieśniacy, wygnani ze wsi przez inwazję traktorów, robotnicy, wędrujący od jednej pracy do drugiej, żołnierze Czerwonej Armji, młodzi komsomolcy, proletarjusze na urlopach, bezdomne dzieci, całe rodziny żydów, persów, turków i ormian — w żadnym innym kraju nie można widzieć tak różnorodnych typów, zgromadzonych w jednym pociągu.

Trzy podwójne, smagane deszczem okna po każdej stronie przedziału, oświetlają dobrze górne miejsca, ale zostawiają dolne siedzenia w półmroku. W nocy pół tuzina elektrycznych lampek z trudem pozwala na czytanie. Ale powietrze jest nadal ciężkie i pilne puszczanie w ruch trzech wentylatorów sprawia małą ulgę.

*

Mimo braku wygód, rosjanie urządzają się jakoś i śmieją się z niewygody cudzoziemca. Na pierwszej większej stacji, pasażerowie wysypują się z kociołkami, butelkami, dzbankami i szklankami po gorącą wodę. Gotująca się woda na każdej stacji, to jeden z niezaprzeczonych przywilejów rosyjskiego podróżnego.

Kiedy jest już woda, można zająć się śniadaniem. Odpakowuje się koszyki z prowiantem; ukazują się bochenki wiejskiego czarnego chleba. Czasem znajdzie się i kawałek masła i sera, częściej twarde jaja czy ryba wędzona. Mleko ogrzewa się przez zmieszanie go z wrzącą wodą. Szczypta liści herbacianych wsypana do kociołka daje mętny szarawy odwar. Z dna koszyków wyciąga się kawałki cukru i podaje tak ostrożnie, jak bryłki złota...

Na dłuższych postojach przez wagon przechodzą roznosiciele gazet, za nimi zaś, nieuchronnie, ukazują się żebracy: małe dziecko, proszące o kilka kopiejek, brodaty starzec, lekko utykający, z wyciągniętą przed siebie czapką, w którą pasażerowie wrzucają kawałki chleba. Przez cały czas podróży ani jeden żebrak nie odszedł z pustemi rękoma.

W wagonie panuje pewnego rodzaju koleżeństwo — coś w rodzaju tego, jakie musiało panować w karawanach zakrytych wozów, ciągnących poprzez prerje Ameryki. Z natury towarzyscy i gadatliwi, rosjanie zaznajamiają się łatwo, tak mężczyźni jak i kobiety, bez względu na konwenanse i skromność. Piją z jednej filiżanki czy butelki, pilnują sobie nawzajem bagaży.

W „twardym" wagonie życie toczy się normalnym trybem. Nikt nie zdaje się być zdziwiony, że w jednym przedziale matka uczy dziecko chodzić, podczas gdy ojciec ściele łóżko, że jakiś młody robotnik dokucza kobiecie z kołchozu, że czteroletniemu chłopcu tłumaczą różnicę między zwyczajem całowania kobiet w rękę za carskich czasów a komunistycznym, demokratycznym uściskiem dłoni, że młody komsomolec ślęczy nad zasadami funkcjonowania telefonów automatycznych, że jacyś pełni temperamentu dwaj młodzieńcy starają się pocałować dwie kelnerki z „miękkiego" wagonu, a dwaj grający w karty mężczyźni śmieją się hałaśliwie.

Z nastaniem wieczora, leniwe znużenie ogarnia wagon. Większość podróżnych leży na swoich ławkach, patrząc sennie na zachód słońca i wydłużające się cienie. Kilku nuci ochryple smętne pieśni, aż konduktor zwraca im uwagę, że hałasem mogą obudzić śpiące dzieci. Opodal, jakaś chłopka ułożyła do snu swego synka na części ławki tonącej w cieniu. Chłopiec patrzy na matkę nieruchomo, a ona pochyla się nad nim w napół siedzącej pozycji i śpiewa mu do snu, niskim, ledwie dającym się słyszeć w szumie pociągu głosem.



Obrazek podróżniczy z Taszkentu

*

Obecność amerykanina jest pewnego rodzaju wydarzeniem. Wielu pasażerów ma krewnych w Ameryce, a znaczna ich część „o mało nie wyjechała do Stanów". Jednemu przeszkodziła wojna, drugiemu kwota imigracyjna, trzeciemu sowieckie utrudnienia wyjazdowe. Pewien konduktor odmawia przyjęcia napiwku i prosi wzamian za to o pomoc przy wydostaniu się do Ameryki. Pasażerowie zasypują mnie pytaniami. Jaki obrót przybiera kryzys w innych krajach? Czy to prawda, że w Ameryce jest tyle chleba i kawy, że trzeba je niszczyć? (to pytanie zadają z niedowierzaniem, jakby niemożliwe było, żeby takie ilości pszenicy wogóle istniały). Jak się powodzi robotnikom w Ameryce? Czy tak dobrze jak nam? Jak wielkie jest bezrobocie? Czy będzie tam rewolucja?

Niezależnie od tego, jak zaczyna się rozmowa, schodzi ona nieuchronnie na temat cen. Zazwyczaj rozmowa o cenach stanowi preludjum do często powtarzających się wyrzekań, że „życie nie jest łatwe".

Robotnik fabryczny, który dobrze pamięta czasy przedrewolucyjne, porównywa ceny obuwia. Przed wojną para najlepszych butów kosztowała w Rosji tylko 6 do 7 rubli; obecnie kosztuje 200 rubli, a jeżeli się ma kartkę można dostać buty za 50 rubli. Inny robotnik z Baku jest zadowolony ze swojej pensji, wynoszącej 600 rubli miesięcznie. Dwa czy trzy lata temu, jak przyznaje, było bardzo źle. Nie było chleba, ani innego jedzenia. Teraz jest znacznie lepiej. Baku jest bogatem miastem, o racjach żywnościowych takich, jak w Moskwie.

*

Przez całą drogę widać z okien budujący się kraj. Niema prawie wioski, w której nie byłoby nawpół wykończonego budynku na horyzoncie. Stosy cegieł, desek i bale drzewa leżą wzdłuż kolei, a przejeżdżające wagony towarowe załadowane są przeważnie szmelcem, węglem, stalowemi szynami i naftą. Sześcioletni chłopiec, przeglądający książkę, natyka się na portrety Lenina i Stalina i wymawia ich nazwiska miękko, prawie pieszczotliwie. Cudzoziemcowi pokazują gospodarstwa państwowe i kolektywy z pewnego rodzaju poczuciem własności i dumą. Widok maszyn i traktorów niezmiennie wywołuje okrzyki: „Patrzcie! patrzcie!"

— Kto jest właścicielem ziemi w Ameryce? — zapytują wojowniczo dwudziestoletnia może dziewczyna i chłopiec. — Ta ziemia jest nasza. U nas niema bezrobocia. Pracujemy tylko 7 godzin dziennie, podczas kiedy wy dwanaście. Czy wasi robotnicy dostają płacę za czas choroby? Tutaj nie mamy ponad sobą nikogo. Mamy rząd robotniczy i pracę dla wszystkich.

Pewien jeszcze zagorzalszy komsomolec przedstawia żywo obraz Rosji za kilka lat, kiedy „nikt nie będzie pracował więcej niż cztery godziny dziennie. Każdy będzie miał własny samochód, a będą i tacy, którzy będą latać do pracy. Zrobimy to wszystko, co wy zrobiliście w Ameryce, ale będziemy mądrzejsi. Będziemy produkowali planowo tak, żeby wiedzieć kiedy przerwać produkcję, kiedy zacząć produkować inne rzeczy. I w ten sposób unikniemy tego strasznego ekonomicznego kryzysu, który was gnębi."

Młodzież jest pełna nadziei, ale starsi pamiętają inne czasy. Opowiadania o nędzy przewyższają liczebnie optymistyczne marzenia, może dlatego, że pociąg przebiega teraz przez Ukrainę i Kaukaz, kraje, w których walka o kolektywizację była najcięższa. A przecież wagon daje obraz rosyjskiego życia daleko dokładniejszy niż statystyczne rezultaty piatiletki. Życie jest niewątpliwie ciężkie, nawet dla ludzi, którzy nigdy wiele nie posiadali. Wyrwani ze swego środowiska chłopi i robotnicy wędrujący w poszukiwaniu „łatwiejszego życia" jeszcze ciągle stanowią większość podróżnych w „twardych" wagonach — a rok obecny jest przecież „najlepszy" od r. 1927.

„Literary Digest", Nowy Jork.

Dowcip Lyautey'a

Podczas uroczystego pogrzebu marszałka Joffre'a pani Lyautey zauważyła kilka szczegółów, które, jej zdaniem, miały się z obowiązującym dobrym tonem.

Rozmawiała o tem, po powrocie, z adjutantem swego męża:

— Zapiszmy te uwagi, powiedziała. Chciałabym, aby o tem pamiętano w czasie pogrzebu marszałka, żeby uniknąć tego rodzaju pomyłek.

Adjutant wziął natychmiast pióro do ręki i zaczął zapisywać uwagi pani marszałkowej. Poczem, odwołani przez kogoś, obydwoje opuścili pokój, zostawiając zapisany papier na biurku. W chwilę później, Lyautey przechodził przypadkiem przez pokój, zobaczył kartkę papieru i przeczytał ją. Przeczytał do samego końca instrukcje na wypadek własnego pogrzebu. Poczem, wielkiem swem, nerwowem pismem, nakreślił poprostu na dole stronicy: „Zgadzam się, z zamkniętemi oczyma".

„Marianne", Paryż.

Sofokles i Bernard Shaw

Bernard Shaw będzie obchodził w tym miesiącu swoje osiemdziesiąte urodziny. Żywotność jego jest godna podziwu; przerabia teraz „Joannę d'Arc" do filmu.

Niedawno podczas pewnej rozmowy, Bernard Shaw, który porównywał już siebie z Szekspirem, stwierdził, z właściwem mu poczuciem humoru, że jeżeli chodzi o wiek, „pobił" już wielkiego dramaturga w r. 1908... Dodał, że wkrótce będzie mógł rywalizować z innym wielkim nieśmiertelnym — z Sofoklesem, który napisał, mając lat 80, swą najlepszą tragedję i odczytał ją dla oceny przed areopagiem Ateńczyków. Shaw pragnie więc, kiedy skończy osiemdziesiąt lat i napisze nową sztukę, zwołać jury i powiedzieć, wzorem Sofoklesa:

— Jeżeli nazywam się Shaw, nie jestem nudziarzem, a jeśli jestem nudziarzem, nie nazywam się Shaw!

„1934", Paryż.

Prawdziwe oblicze gwiazd amerykańskich

Marja Dressler i Mae West

Marja Dressler jest nietylko najulubieńszą gwiazdą starszego pokolenia w Hollywood — przyjaźń jej można uważać za najdroższy skarb. Jak długo Hollywood będzie istniało, będzie jedną z ulubienic publiczności.

— Popatrzcie na mnie, mówi Marja Dressler. Jak długo siebie pamiętam, byłam brzydka. Ale cóż z tego?

— Ciało jest tylko ciałem, jakkolwiekby je spłaszczać i zwężać w biodrach. A jeżeli cała twoja wartość polega na pięknem ciele — nie jesteś wiele warta. Używajcie pomadki do warg



Marja Dressler

i tuszu do rzęs, jeżeli sobie tego życzycie — ale ani przez chwilę nie myślcie, że ma to najmniejsze znaczenie dla jedynej waszej części, która może mieć wartość, dla waszej jaźni, dla tego, co nazywamy duszą, ponieważ nie znamy innej nazwy.

— Myślenie dobrze o innych nada oczom waszym większego blasku, niż wszystkie tusze świata. Wszystko mi jedno, jakie chciałabym mieć usta, gdybym się urodziła po raz drugi, ale szlachetność, pobłażliwość i optymizm nadają ustom piękniejszy rysunek, niż łuki nakreślone nawet przez samego Kupidyna. Gdyby tylko kobiety przestały się martwić o to, ile ważą, a od czasu do czasu pomyślały o prawdziwych zmartwieniach innych, byłyby nietylko szczęśliwsze, ale odkryłyby także, że stają się o całe niebo ciekawsze niż dawniej.

To wszystko powiedziała mi Marja trzy lata temu, podczas rekonwalescencji po ciężkiej chorobie, z której mogła się była nie wygrzebać.

MARJA BUDUJE SOBIE DOM

Po tej chorobie przyjaciele artystki wzięli jej sprawy w swoje ręce. Dwie przyjaciółki przekonały ją, że powinna spróbować szczęścia we filmie i odkładać większą część zarobków, aby móc wybudować sobie własny dom.

I wreszcie, blisko rok temu dom został wykończony. Marja Dressler nazwała go Loafhaven. Dom jest podobny do niej samej. Niema w nim ani jednej niepotrzebnej rzeczy.

Jedyną rzeczą, której w życiu zawsze pragnęła, a nigdy nie miała, był dom. Można na to powiedzieć, oczywiście, że nie widać przyczyny, dla którejby go nie mogła mieć, ponieważ miała zawsze pieniędzy poddostatkiem. Ale nawet gdyby miała dziesięciokrotnie wyższe honorarja od otrzymywanych, jeszczeby potrafiła pozbyć się ich w szybkim czasie: powiększyłaby dziesięciokrotnie ofiary na cele dobroczynne.

Marja zawsze ceniła otrzymywane podarunki i dlatego, mimo, że często nie odpowiadały stylowi pokoju albo były poprostu w złym tonie, nie chciała wyrzucać ich na strych. Na najlepszym fotelu w salonie siedzi dziwnie przypominający kundla szczeniak, którego Marja sama przyniosła z ulicy. Na parapetach kominków stoją rozmaite rupiecie i oprawione fotografje starych przyjaciół.

Mimo, że to jest dom Marji, ona nim bynajmniej nie rządzi. Przez całe lata tak było. Brak samolubstwa w jej charakterze jest może przyczyną, że zawsze chciała aby nad nią ktoś panował. W Loafhaven panuje Mamie, murzynka o miękkiej wymowie, która przez ćwierć stulecia mieszka razem z Marją, w złych czy dobrych czasach, otrzymując pensję lub jej nie otrzymując. Widziałam kiedyś, jak wniosła kawę po obiedzie (n. b. najlepszą kawę w Hollywood!).

POD WŁADZĄ SŁUŻĄCEJ

Marja spojrzała błagalnie i usiłowała nalać sobie filiżaneczkę. Na to Mamie rzuciła jej surowe spojrzenie.

— Panno Marjo, powiedziała z wyrzutem, przecież pani wie, że doktór zabronił kawy wieczorem. Ile razy mam to Pani powtarzać?

I Marja może prosić jak chce — nie dostanie kawy. Rządzą nią, jak małą dziewczynką!

Marja Dressler jest nadzwyczajną kobietą, której obecność na premjerze w Hollywood jest synonimem wzmocnionych kordonów policji, broniących jej przed pełnym entuzjazmu tłumem. Kiedyś widziałam ją na balu, wydanym przez Mary Pickford i Fairbanksa i zauważyłam jak powoli przysuwali się do niej wszyscy utytułowani dygnitarze, zostawiając młodociane piękności ekranu. Dostojni goście ze wszystkich kątów świata gromadzili się dokoła tej starej, tęgiej kobiety.

Czasami stosunkowo nieważne wydaje mi się jej stanowisko w świecie filmu. Pewnie, że wiele znaczy to, że we wszystkich kinach na całym świecie widzowie śmieją się i płaczą pod krokiem jej wielkiej sztuki. Ale Marja Dressler jest czemś więcej jeszcze niż wielką gwiazdą filmową i Marja-kobieta będzie żyła w sercach setek swoich przyjaciół wtedy nawet, kiedy imię jej, jako znakomitości filmowej, będzie zapomniane.

Czy można się wobec tego dziwić, że Hollywood uważa Marję Dressler za królowę gwiazd starszego pokolenia?

* * *

Można się z tem nie zgadzać, ale w Hollywood przeważa opinja, że nikt przed Mae West w taki, jak ona, sposób nie wdarł się do królestwa filmu, wznosząc się z zupełnego zapomnienia na najwyższe szczyty sławy z szybkością meteoru. I żadna z nowoprzybyłych nie miała jeszcze tak trwałych i potęgujących się z filmu do filmu sukcesów.

Tak samo jak ekranowa Marja Dressler różni się od Marji Dressler, którą Hollywood zna i kocha, wężowata Mae West z „Lady Lou" jest zupełnie niepodobna do kobiety z krwi i kości w życiu prywatnem.



Mae West

Mae została wychowana w twardej szkole, nauczyła się wszystkiego, co trzeba wiedzieć o teatrze, kiedy była jeszcze młodą dziewczyną. Szybko pojęła w jaki sposób najlepiej wydobywać oklaski ze zmęczonych pracą mężczyzn.

Małego wzrostu, mierząca niecałe 5 stóp wzrostu, Mae West przezwyciężyła ten defekt, zamawiając sobie obuwie o pięcio-calowych obcasach, które nadawało jej pozory normalnych proporcyj fizycznych. Nie poprzestała zresztą na tem. Umiejętnie poumieszczane poduszki nadały jej wygląd kobiety o pełnych kształtach, których jej poskąpiła natura. Te wkładki jeszcze dotychczas jej służą. To jest właśnie przyczyną, dla której niema dotąd — i nigdy nie będzie — fotografji Mae West w kostjumie kąpielowym. To jest powodem, że ani Coney Island, ani Santa Monica nie będą nigdy zaszczycone obecnością kobiety, za którą szaleje publiczność.

ESKORTA UZBROJONYCH DETEKTYWÓW

Wszystko zatem w Mae West z ekranu jest sztuczne. W ciągu długich miesięcy, które spędziła w kolonji filmowej, ani razu nie wypowiedziała tego prostego zdania: „Proszę do mnie zajść". Przeciwnie, życie jej poza atelier jest równie zamknięte, jak życie Grety Garbo.

Jest jedyną gwiazdą Paramountu, której adres prywatny jest nieprzeniknioną tajemnicą. Opuszczając dom, posługuje się opancerzonym samochodem, siedząc na tylnem siedzeniu pomiędzy dwoma uzbrojonymi detektywami. Nikt nie może dostać się do atelier, gdzie Mae kręci. Dostępu pilnują umyślni dozorcy.

Mimo to udało mi się przeniknąć poprzez ten kordon kilka razy, a dwa razy nawet piłam z gwiazdą herbatę w jej garderobie. Przy tej okazji mogłam poznać prawdziwą kobietę, nie pod maską, która zabiera tak wielką część jej życia.

Słowa jej stanowią dowód, że jest przeciwieństwem typu, który w filmie przedstawia. W rozmowie wtrąca często wyrażenia najczystszej gwary nowojorskiej, a jej nieoczekiwane uwagi są równie dowcipne, jak djalogi w jej filmach (których jest zresztą autorką!). Łatwo przekonywa swego rozmówcę o swojej wielkiej inteligencji.

Mae West zna jedno tylko prawidło: pracę. W całem Hollywood niema innej kobiety, któraby tak umiała pracować. Do pracy zdążyła się w życiu przyzwyczaić.

Ze źródeł pobocznych dowiedziałem się o doświadczeniach artystki na początku jej karjery filmowej. Podobnie, jak na każdego nowego przybysza z teatru, patrzeli na nią spoczątku podejrzliwie, zarówno chlebodawcy, jak i partnerzy. Właściciele wytwórni wiedzą już z doświadczenia, że sukcesy sceniczne rzadko idą w parze z powodzeniem w filmie.

SAMA PISZE SCENARJUSZE

Dlatego też w pierwszym filmie z życia nocnych klubów z George Raft'em w roli tytułowej, dano jej małą rólkę. Kobieta mniej mądra skrzywiłaby się, bo rola zasługiwała na obsadzenie przez statystkę, ale nowoprzybyła nie podniosła sprzeciwu.

Zamiast tego zabrała rolę do domu i przestudjowała ją. Następnego dnia, wczesnym rankiem, zamknęła się z kierownikiem studjo i powiedziała mu, co o niej myśli. Poczem ukazała się z rękopisem zmienionym do niepoznania — w scenach, w których miała występować. A kiedy film został wyświetlony, widzowie od Capetown do San Francisco wydawać poczęli okrzyki zachwytu, kiedy przez trzydzieści sekund nowa gwiazda ukazywała się na ekranie.

Odtąd powierzać zaczęto Mae West przygotowywanie każdego filmu, w którym miała grać. Pisała scenarjusze. Opracowywała ostatecznie stronę dźwiękową i inne szczegóły produkcji. Jej niespożyta energja zadziwiła szefów, a wpływy kasowe z jej filmów zachwycają szczęśliwych właścicieli kin, na całym świecie.

Uważam, że Mae West na filmie jest bardzo zabawną dostawczynią hałaśliwej karykatury. W mojem pojęciu nigdy nie była i nie mogła być „Lady Lou" w życiu prywatnem. Ale jest to tylko przecież moja opinja.

„The People", Londyn.

Polowanie na przodków w Ameryce

Na żądanie bogatych amerykańskich klijentów specjaliści od rodowodów skrzętnie przetrząsają cały kraj w poszukiwaniu „autentycznych przodków" z minionych stuleci.

Rejestry parafjalne i nagrobki na wiejskich cmentarzach są skrupulatnie badane w związku z tą nową „konjunkturą", a w niektórych wypadkach poszukiwacze odbywają nawet dłuższe podróże w celu spełnienia żądań swoich klijentów.

Pragnienie odpowiedniej linji przodków jest szczególnie silne w pewnych częściach Stanów. Tłumaczyć się ono może dumą rodową, dążeniem do stanowiska społecznego albo chęcią zadośćuczynienia wymaganiom rozmaitych organizacyj patrjotycznych, które żądają wykazania się dawnością rodziny, zanim wpisują kandydatów na listę członków.

W klasyfikowaniu przodków panuje pewien snobizm. W chwili obecnej największą wartość ma pochodzenie w prostej linji od pasażerów „Mayflower", pierwszego okrętu, który przybył z emigrantami angielskimi do Ameryki.

Rodowodem który sięga piętnastego stulecia można już się szczycić, a mało jest takich, których jeszcze wcześniejsze pochodzenie możnaby udowodnić autentycznemi dokumentami. Rodowody z dwunastego stulecia można w Ameryce policzyć na palcach jednej ręki. Mimo to są ludzie, którzy z wielkiemi nadziejami przedsiębiorą poszukiwanie przodków; trzeba je przeprowadzać zawsze z wielką ostrożnością, ponieważ są okresy czasu, kiedy pojawiało się mnóstwo fałszowanych dokumentów. Słynęła z tego zwłaszcza epoka tudorów.

Przodkowie z epoki najazdu Normanów chętnie są widziani przez Amerykanów pewnego typu. Jest to poniekąd zrozumiałe — jakkolwiek z drugiej strony można obliczyć, że każda osoba, powołująca się na pochodzenie od Wilhelma Zdobywcy, mogła mieć równie dobrze półtora miljona innych, jemu współczesnych przodków, z których niektórzy musieli przecież być niewolnikami!

„Time and Tide", Londyn.

Stratosfera wabi śmiałków

Nie chce zdradzić swych tajemnic uczonym badaczom

Przed niewielu dniami oficerowie korpusu lotniczego armji Stanów Zjednoczonych dokonali nieudałego wzlotu do stratosfery. Na znacznej wysokości pękła opona ich balonu i cudem uszli z życiem przy lądowaniu. Artykuł poniższy jest przeglądem wysiłków dokonanych dla zbadania stratosfery.

Przed kilku dniami wzniosła się do stratosfery doskonale zorganizowana ekspedycja z gór wschodniej Dakoty (w Am. Półn.). Balon o przedtem nieznanej pojemności 3.000.000 stóp kwadratowych uniósł wgórę dwóch uczonych i baterję czułych przyrządów naukowych i skrzętnie notujących zjawiska, leżące poza sferą zmysłów. Zabrano całe laboratorjum w tę siódmą zrzędu podróż powietrzną od r. 1931, od czasu, kiedy prof. August Piccard po raz pierwszy puścił się w drogę w kulistej gondoli najdziwniejszego z dotychczas skonstruowanych balonów.

Przed r. 1896 nie podejrzewano nawet istnienia stratosfery. Sądzono, że im wyżej, tem powietrze staje się rzadsze i zimniejsze. Wszystko to było zresztą prawdą, ale tylko drobnym jej okruchem. Systematyczne badania prowadzone przez Teisserenc de Bort rozwiały wyobrażenie o jednolitej atmosferze. Ten wytrwały uczony francuski meteorolog od r. 1896 wypuszczał w powietrze badawcze balony bez obsługi, obarczone samoczynnemi instrumentami, które zapisywały wszystko, co czuły: zmiany temperatury, ciśnienia i inne zjawiska, mające wartość dla nauki. Spoczątku nie mógł uwierzyć w rezultaty, jakie otrzymywał. Były tak zdumiewające, jak opowiadania Marka Polo o państwie Dżyngis Chana, czy Kolumba o kraju, leżącym za oceanem.

* *

Wedle tych zapisków, na wysokości około sześciu mil rozciąga się dziwna warstwa atmosfery, tak bardzo różna od powietrza, które nas otacza, jak np. okolice arktyczne od równika. Niema tam chmur, ani wiatru, ani burz, niema tego, co nazywamy „pogodą". Jeden dzień jest podobny do drugiego. Nigdy niema nawet mgły. Słońce i gwiazdy świecą na purpurowo-czarnem niebie. Panuje tu wieczna cisza, pogoda i zimno — temperatura dochodząca do 70 stopni Fahrenheita poniżej zera.

TROPOSFERA I STRATOSFERA

Teisserenc de Bort i meteorologowie jego czasów nazwali tę warstwę „izotermalną", czyli o temperaturze niezmiennej. Później dopiero zostało ukute słowo „stratosfera", a jako „troposferę" określono gęstą warstwę powietrza, która otacza powierzchnię ziemi i którą oddychamy. Mimo że troposfera i stratosfera są od siebie wyraźnie oddzielone, granice ich są zmienne. Pomiędzy niemi leży pusta przestrzeń „tropopauza". Stratosfera jest najniższa nad biegunami (około sześciu mil), najwyższa zaś nad równikiem (dziesięć mil).

Jeszcze przed Piccardem ludzie docierali do stratosfery. Już 70 i więcej lat temu docierano na balonach do stratosfery, mimo, że zupełnie nie była znana. Wiadomości dostarczane z narażeniem życia przez tych pionierów i ich następców, nie były warte takiego nakładu czasu, wysiłku i pieniędzy. Dopiero meteorologowie zapomocą swoich małych balonów, napełnionych wodorem i zaopatrzonych w instrumenty samoczynne zgłębili atmosferę na wysokość 21 mil — wysokość, która się nawet teraz wydaje niedosiężną, ale którą napewno osiągnie pierwszy statek powietrzny — rakieta, który przetnie w ciągu kilku godzin Atlantyk.

Niedawny, skoncentrowany atak na stratosferę spowodowany został odkryciem promieni kosmicznych, obdarzonych radjoaktywnością. Trzeba wrócić do początków obecnego stulecia. Uran, tor, rad, polon i inne radjoaktywne pierwiastki stały się cbiawieniem i zagadką dnia; wytwarzały różnego rodzaju promienie. Rozmaite słynne źródła okazały się radjoaktywne; z głębi ziemi wydobywała się energja, która mogła oddzielać elektrony od atomów i w ten sposób jonizować je — to znaczy czynić powietrze tak dobrym przewodnikiem elektryczności, jakim jest drut.

Co jest bardziej zrozumiałe, niż chęć zmierzenia stopnia tej jonizacji czy elektryfikacji? Prof. Teodor Wulff, jezuita, zaopatrzony w kilka instrumentów, udał się na wieżę Eiffla w Paryżu i zauważył, że tam efekt był trochę inny, niż na ziemi. Spodziewał się zresztą tego, ale zdawało mu się, że różnica nie jest tak wielka, jaką być powinna. Wkrótce potem prof. Gockel, szwajcarski fizyk, powziął myśl wzniesienia się w balonie i mierzenia, w miarę wznoszenia się stopnia radjoaktywności. W r. 1910 i 1911 osiągnął wysokość około 13.000 stóp i opuścił się bardziej jeszcze zdumiony, niż przedtem. Radjoaktywność zmniejszała się początkowo istotnie, ale później ku jego zdumieniu, w miarę wznoszenia się, wzrastała.

PROMIENIE KOSMICZNE

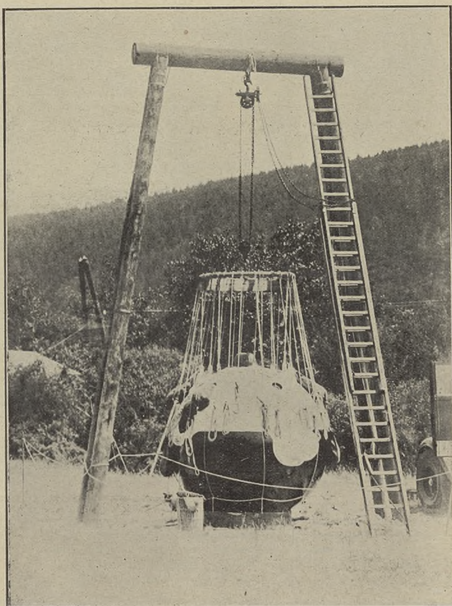
Uderzony rezultatem doświadczeń Gockel'a dr. Wiktor Hess z Innsbrucku dokonał pewnych obliczeń, które go doprowadziły do wniosku, że promienie radowe gamma, o prawdopodobnie najsilniejszem działaniu, powinny być zupełnie wchłaniane kilkaset metrów nad ziemią. A więc albo Gockel się mylił, albo trzeba było powtórzyć eksperyment. Hess wypuścił więc balony badawcze z samoczynnemi instrumentami na wysokość 16.000 stóp. Odkrycie Gockla nie ulegało wątpliwości. Promienie działały silniej na wielkich wysokościach, niż na ziemi. Można zatem było wyciągnąć tylko jeden wniosek: że promienie te nic nie miały wspólnego z radjoaktywnością.

W r. 1925 prof. Millikan postanowił zająć się bliżej tem nowem dla badań polem. Z Kelly Field w Texas wypuścił balony badawcze, wdarł się na góry w Boliwji, wszedł na Pike Peak obarczony 300 funtami ołowiu i dzbanem wody, wdrapał się na Mount Whitney, żeby móc zanurzyć instrumenty w powstałe z topniejącego śniegu jezioro Muir, przedsięwziął podróż do krain arktycznych dla poczynienia tam obserwacyj i nawet wzniósł się na znaczną wysokość w aeroplanie, udoskonalonym według własnego pomysłu. Nietylko potwierdził odkrycia swoich poprzedników, ale dostarczył jeszcze znacznie szczegółowszych danych.

Wtedy powstało zasadnicze pytanie: czem są te promienie? Skąd pochodzą? Millikan miał na to sensacyjną odpowiedź. Pochodzą z przestrzeni; są „krzykiem porodowym nowej materji", ponieważ zgodnie z najnowszemi teorjami atomu elektrony i protony mogą się łączyć. Jeżeli to prawda, to drugie prawo termodynamiczne, twierdzące, że wszechświat zwolna obumiera — jest fałszywe. Wedle Millikana „Stwórca jest jeszcze przy pracy".

WIELKA PRZENIKLIWOŚĆ

Zdaniem Millikana promienie te są poprostu falami świetlnemi o nieznanej poprzednio przenikliwości, energji i krótkości. Przenikają poprzez ołów grubości 18 stóp. Nawet na dnie jeziora Constance (775 stóp głębokości) można je jeszcze odkryć. Czem są jednak? Nie można ich zobaczyć bezpośrednio tak, jak widzimy światło dzienne. Znamy jedynie skutki ich działania. Odrywają elektrony z atomu powietrza; elektrony przez jakiś czas krążą błędnie, a potem rozbijają inne atomy — i nawet ich jądra. Wszystko co fizyk może zaobserwować, to porwane szczątki.



Ładowanie gondoli balonu stratosferycznego

Tajemnica ta pociągnęła fizyka Comptona. Z jego inicjatywy rozpoczęto na całym świecie obserwacje, które doprowadziły ostatecznie do konkluzji, że promienie te są w wielkiej mierze cząstkami i drobinkami materji. Niema wątpliwości, że w okolicy biegunów są silniejsze, niż nad równikiem, co zgadza się z przypuszczeniem, że są naładowane elektrycznością.

* * *

Widzimy więc, że wspinanie się na góry i wznoszenie w balonach było w pewnej mierze poszukiwaniem promieni kosmicznych i że stratosfera ma dla fizyka, zajmującego się badaniem atomów, równie wielkie znaczenie, jak dla meteorologa. Uczony, pragnący poznać powstawanie promieni kosmicznych musi zbadać górne warstwy powietrza. Trzeba przyznać, że w tym względzie nie osiągnięto jeszcze zadawalających wyników.

Prof. Regener, wzorem licznych poprzedników, wysłał balony badawcze bez obsługi z instrumentami, które miały wykryć, czy siła promieni rośnie w nieskończoność. Wysokość do której dotarły balony — 22 kilometry — nie została osiągnięta dotąd przez żadnego człowieka.

Ale mimo, że balony poczyniły nieocenione obserwacje, nie zadawalają nas one w pełni. W tym zimnym rozrzedzonym oceanie gazu ponad naszemi głowami wiele jest rzeczy godnych widzenia, tak wiele, że nawet najpomysłowsze instrumenty nie zdołają tego wyrazić. Pozatem, balon badawczy ma ograniczoną działalność. Można w nim umieścić tylko nieliczne i bardzo lekkie instrumenty.

PONAD STRATOSFERĄ

Wiele jeszcze razy trzeba się będzie wznosić w powietrze, zanim zostanie rozstrzygnięta sprawa pochodzenia promieni kosmicznych. Pozatem stratosfera warta jest zbadania dla siebie samej. Zalana jest promieniami, od których działania osłania nas troposfera — promieniami słońca, o nieznanej nam sile; promieniami ultra-fioletowemi, infra-czerwonemi, promieniami kosmicznemi; niekończącym się strumieniem elektronów, płynących ze słońca i innych cząsteczek, o których istnieniu jeszcze nic nie wiemy. Jeszcze wyżej, 40 km. nad ziemią, poza zasięgiem balonów badawczych, znajduje się, jak się zdaje, warstwa ozonu, w której powietrze jest tak ciepłe, jak nad ziemią i w której możnaby usłyszeć głos ludzki. Jeszcze wyżej, na wysokości 100 km. jest niewidzialne lustro elektronowe, które odbija fale radjowe naokoło ziemi. A powyżej niego jeszcze jedno.

Teraz zaczynamy rozumieć, dlaczego nagle fizycy przekształcili się w doświadczonych i pobijających rekordy kapitanów balonów. Wyżej, coraz wyżej! — wołają 10 km. — to mało. 15, 20 i 30 — zaledwie im wystarcza. Wznoszenie się badaczy arktycznych w masce tlenowej i w futrach stanowi niezwyciężoną przeszkodę. Człowiek musi mieć swobodę ruchów, by móc dokonywać naukowych obliczeń. Musi mu być ciepło bez okrycia, grubszego od pierzyny.

Jeżeli z tego punktu widzenia rozpatrzyć ten problem, jasnem się stanie, dlaczego Piccard postanowił rozstać się z dawnym, starym typem balonu o otwartej gondoli. Zbudował już popularny obecnie balon kulisty — hermetycznie zamkniętą kulę z lekkiego metalu, w której dwaj ludzie mogli wygodnie przebywać przez kilka godzin, wdychając tlen w małych ilościach, wydzielający się ze stalowej flaszki, doglądając instrumentów, wyglądając od czasu do czasu przez okienka, notując interesujące zjawiska w dzienniku i zachowując się nagół nie inaczej, niż bohaterowie Juljusza Verne'a.

Trzeba przypomnieć, że kiedy po raz pierwszy świat dowiedział się o zamiarach Piccarda, uznał go za łagodnego warjata z gatunku wynalazców. Był on wówczas coprawda profesorem, nie zajmował jednak żadnego stanowiska w świecie fizyków. Fotografje jego nie zwiastowały nic dobrego. Ta długa, uczona twarz opatrzona okularami, brwi intelektualisty, łysa głowa o frendzli niemodnie przycięytch włosów mogła należeć do jakiegoś guwernera z czasów Drugiego Cesarstwa, ale nie do śmiałka, który wybierał się na wysokości, nigdy przedtem przez żywą istotę nieosiągnięte.

LOT PICCARDA

Piccard jednakowoż potrafił dowieść, że kwadratowa szczęka i atletyczna postawa są najmniej ważnemi rekwizytami dla człowieka wybierającego się w Nieznane. I w ten sposób ten nieznany belgijski profesor, któremu spać nie dawała tajemnica promieni kosmicznych dokonał najbardziej istotnego postępu w sterowaniu wolnemi balonami od czasu wprowadzenia wodoru do nadymania statków powietrznych. Odtąd każdy lot w stratosferę od r. 1931 odbywa się na tych zasadach, jakie wprowadził Piccard. Jest on pierwszym z nowego pokolenia badaczy. To, co było zaledwie próbą lepszego zbadania promieni kosmicznych, w ciągu trzech lat wzbudziło tak wielkie zaintereso-

(Dokończenie na str. 7)

Jean de Latraz

OSTATNI PAPIEROS

— Daisy, mówiłam ci przecież, że nie chcę, aby mi przeszkadzano.

— Proszę pani, to jakiś pan, który koniecznie chce panią widzieć.

— Czy dał swoją kartę wizytową?

— Nie, nie chce dać. Ale mówi, że ma pani coś niezwykle ważnego do zakomunikowania.

— Nie mogę nikogo przyjąć.

— To jest młody, elegancki, bardzo dystyngowany i bardzo przystojny pan.

Joyce Hopkins wybuchła śmiechem.

— Wiem, że pod tym względem mogę mieć do ciebie zaufanie, Daisy, ale to mi jeszcze nie mówi, co tak bardzo ważnego ma mi ten pan zakomunikować. Jeżeli to jakiś idjota, który mnie będzie nudził, wyrzucę go przez okno, a tobie za karę nie dam prezentu na gwiazdkę.

Daisy, pikantna pokojówka, prawie równie



ładna, jak jej młoda pani, dygnęła i wyszła z pokoju. Udała się do przedpokoju i poprowadziła nieznajomego pana do małego saloniku Joyce.

Kiedy został sam, nieznajomy poprawił krawat i nerwowo zaczął uderzać w szybę okna, z którego roztaczał się rozległy widok na New-York.

Wreszcie weszła Joyce.

— Pan pragnie mi coś zakomunikować?

Przyjrzał się jej z ciekawością, zanim odpowiedział:

— Tak, proszę pani.

— Dlaczego nie zechciał pan podać mojej pokojówce nazwiska?

— Miałem ku temu pewne powody. Córka generalnego prokuratora departamentu Sprawiedliwości powinna zrozumieć konieczność dyskrecji w pewnych okolicznościach.

— Czy pan przyszedł tu do mnie, jako do córki mego ojca?

— Tak... a teraz niech sobie mnie pani postara się przypomnieć. Czy mnie pani nie poznaje?

— Nie.

— Czy rzeczywiście twarz moja nic pani nie przypomina?

— Nic.

Obejrzał się wkoło, spostrzegł telefon w kącie pokoju, poczem wstał, podszedł do drzwi i niedbale zapytał, zamykając je na klucz:

— Pozwoli pani?

Z tej samej kieszeni wyciągnął mały rewolwer, którym się chwilkę pobawił i który po sekundzie włożył spowrotem do kieszeni.

Z zimną krwią wskazała mu fotel.

Podziękował z miną światowca i rozsiadł się wygodnie. Nie zniżając się do zdawkowych komplementów, popatrzał długo i z zachwytem na młodą dziewczynę.

Istotnie stanowili piękną parę i mogliby napewno zrobić furorę na wszystkich ekranach świata.

— Pomogę pani przypomnieć mnie sobie.

Wprawnie odlepił przyprawione wąsy.

— A teraz?

Zadrżała. Ta twarz wydała jej się nagle znajoma, a mimo to wahała się jeszcze. Nagle wyszeptała:

— Eddy Carver?!

Istotnie był to on! Awanturnik, słynny gangster, którego piękna twarz była tysiące razy reprodukowana we wszystkich dziennikach świata. Eddy Carver, handlarz bronią i przemytnik alkoholu, przywódca bandytów, gentleman-morderca, zabójca policjantów, tropiony we wszystkich stanach Ameryki i trzy razy skazany na krzesło elektryczne. Podczas gdy sieć zaciskała się wkoło niego i kiedy przetrząsano w pogoni za nim wszystkie wielkie hotele i wszystkie spelunki miasta, on spokojnie rozmawiał z córką tego, który miał wydać nakaz egzekucji.

Joyce, lekko wzruszona, spojrzała w stronę telefonu; Eddy dostrzegł jej spojrzenie i zrobił gest, którym jakgdyby chciał odradzić jej wszelkie usiłowanie porozumienia się ze światem.

— Dziękuję pani za gościnę, bo tu, zdaje się, jest jedyne miejsce na świecie, gdzie mogę swobodnie oddychać. I ponieważ jestem tu w towarzystwie milszem, niżbym mógł to sobie wymarzyć, rozumie pani, że zupełnie mi nie zależy na tem, żeby się z panią rozstać.

— Czy tylko dla zyskania kilku chwil wytchnienia wpadł pan na oryginalny i zresztą dość zuchwały pomysł złożenia mi wizyty?

— Chcę więcej, muszę przyznać, niż kilku chwil spokoju. Życie ma swój urok i nigdy nie czułem tego, tak intensywnie, jak teraz, w pani obecności. Zastanówmy się przez chwilę. Ojciec pani jest moim śmiertelnym wrogiem. Z jego strony grozić mi może wszystko. Z jego też strony wolno mi się wszystkiego spodziewać.

Joyce Hopkins zrobiła minę, wyrażającą powątpiewanie.

— Wiem o tem, że jest to urzędnik nieprzekupny, ale wiem i o tem, że ma przecudną córkę, którą kocha najbardziej w świecie i to jest, przyzna pani sama, jedyna jego słaba strona.

— Obawiam się, że porwać mnie będzie trudno.

— Żałuję tego podwójnie, ale nie żywię żadnej w tym kierunku nadziei. A jednak... Niech sobie pani wyobrazi, że była pani moją kochanką i że w chwili śmierci wyznam to głośno. Jakiż skandal wybuchłby w Stanach! Znaleźliby się na poczekaniu pomysłowi dziennikarze, którzy dopatrzą się związku między naszym stosunkiem a moją wieloletnią nieuchwytnością. Ojciec pani ma przeciwników. Jaką broń przeciw niemu możnaby ukuć na podstawie takiego podejrzenia!

— Jest tylko pewien szkopuł w tem wszystkiem, drogi panie..., to, że mnie nigdy nic z panem nie łączyło.

Eddy Carver począł się serdecznie śmiać.

— Ależ tak, ależ tak... rzecz w tem właśnie, że byłem pani kochankiem.

— To twierdzenie jest conajmniej niespodziewane... ale nawet gdybym była pańską... pańską przyjaciółką... trzeba, żeby pan mógł przedstawić jakieś niezaprzeczone dowody.

— Dowody te są właśnie w mojem posiadaniu.

— Nie jestem ciekawa, ale ponieważ dziś widzimy się po raz pierwszy, domyśla się pan, że mogę się trochę dziwić.

— Tem niemniej nie ulega wątpliwości, łaskawa pani, że ojciec pani może przypisywać wielką wagę do posiadania tych kompromitujących dokumentów i że byłby może za ich cenę skłonny do ułatwienia mi ucieczki, któraby na zawsze uwolniła Stany Zjednoczone od mojej uciążliwej obecności.

— Brawo, ale gdzie są te dokumenty?

— Mam przy sobie dwa ich egzemplarze. Reszta znajduje się w dobrych rękach. Kiedy je pani zobaczy, sądzę, że stanie się pani najlepszym pośrednikiem między mną a pani ojcem. Proszę wziąć pod uwagę, że nigdy w życiu nie zawiodłem dyskrecji wobec rozmaitych dam, które wbrew prawom i moralności publicznej, okazywały mi nieco sympatji w okolicznościach często bardzo dramatycznych. Dla pewności nie nazywałem ich nigdy po imieniu. Nazywałem je „mojemi papierosami". Mam zatem cudowne wspomnienia o papierosach Murati — o pewnej tancerce, o Lucky Strike — żonie dyplomaty... o Gold Flake i tylu innych...

— Mówił pan o tych dokumentach?

— Są to listy miłosne... pisane pani ręką... tak namiętne, tak kompromitujące...

— Czy były skierowane do pana?

— Pewien zbieg okoliczności pozwolił mi poznać pani kochanka.

— Mego kochanka?

— Nie powinna pani była ufać tym tancerzom, których spotyka się w nocnych lokalach. Nie są dyskretni i są w stanie sprzedać korespondencję za kawałek chleba. Potrafią nawet sprzedać garsonjerę z kluczem od drzwi i wszystkie te drobnostki, które młoda, zakochana dziewczyna może zapomnieć w szafie, spędzając niezapomniane chwile u boku kochanka. Koszulki, kombinacje, drobnostki z torebki...

Dziewczyna wydawała się mocno zmieszana.

— Niech pani posłucha jak brzmi ten np. krótki list: „Mój najdroższy, wyrwałam się z twoich ramion i jeszcze bardziej niż przed naszem spotkaniem tęsknę za tobą całem ciałem, które do ciebie należy i całem sercem". Mam jeszcze i inne listy, których nie przyniosłem ze sobą, żeby nie urazić pani skromności. Usta pani i oczy nie kłamią zapewne. Jakiż pani musi mieć temperament, jak bardzo pani jest stworzona do miłości! Listy te pisała pani na zwykłym swoim papierze, który wszyscy przyjaciele zapewne znają. Jaka to nieostrożność!

I mówiąc to, gangster wyciągnął z teczki leżącej na biureczku niebieskawy arkusik papieru, zupełnie przypominający ten, który podał Joyce.

— Teraz niech pani zechce pomyśleć: „Mój najdroższy" to właściwie nie jest nikt, „moim najdroższym" może być ten, w którego posiadaniu są listy. Wczoraj był nim ktoś inny, dzisiaj jestem ja.

Joyce Hopkins podniosła głowę. Spojrzenie Eddy Carvera paliło jej szyję. Czuła nieprzeparty pociąg do tego wyjątkowego człowieka, tak bardzo różniącego się od banalnych, doskonale wysportowanych chłopców, którzy w klubie zalecali się do niej w sposób nudny i nieciekawy.

Legenda, otaczająca złoczyńców, przyciąga instynktownie kobiety, które w głębi duszy buntują się często przeciw społeczeństwu i darzą podziwem tych, którzy wydają wojnę ludziom, prawodawcom i władzy!

Wyobraziła sobie, przymknąwszy oczy, tego pięknego chłopca rzuconego w kajdanach na to straszne krzesło... Przejdzie prąd i cudowne oczy, błyszczące ogniem życia będą spalone, spopielone...

Wstała, dziwnie podniecona tym obrazem. Stali naprzeciwko siebie. Eddy Carver zapomniał o niebezpieczeństwie, o karze, która go czekała... Drżącemi rękami, ruchem zdobywcy objął tę zdobycz, która, jak wyczuwał, wpadała mu w ręce...

Joyce końcami palców sięgnęła po papierośnicę, leżącą na niskim stoliku. Otworzyła ją:

— Może papierosa...

Wyciągnął powoli jednego. Spojrzał na markę:

— Abdulla...

Powtórzył, zachłystując się pragnieniem, radością i upojeniem:

— Abdulla, może już ostatnia...

Przyciągnął dziewczynę do siebie. Upadli razem na tapczan. Joyce cicho krzyknęła. Zapadła noc.

Eddy Carver raz jeszcze pocałował usta Joyce Hopkins. Potem podarł listy, które ze sobą przyniósł i wyszeptał:

— Chciałbym żyć jeszcze tak długo, żeby zdążyć odesłać ci resztę listów.

Uścisnęła mu mocno ręce i z oczyma pełnemi łez odpowiedziała:

— Żegnaj, Eddy... żałuję, że nie mogę nic już dla ciebie na tym świecie uczynić.

Potem bez słowa zwolnili uścisk swych dłoni. Eddy otworzył drzwi i wyszedł, nie przyklejając nawet sztucznych wąsów, które zmieniały jego wygląd.

W kilka dni później Joyce i jej pokojówka słuchały ostatnich wiadomości nadawanych przez radjo. Nagle Joyce zbladła i zadrżała, usłyszawszy, że:

„Eddy Carver, słynny gangster, zbrodnie swe okupił krzesłem elektrycznem. Minutę temu sprawiedliwości stało się zadość."

Daisy wykrzyknęła wesoło:

— Nareszcie! Czas na niego!

Joyce, blada z przejęcia, odpowiedziała jej po chwili milczenia:

— Widzisz, Daisy, ten Eddy Carver był mimo wszystko dżentelmenem.

I, ponieważ pokojowa patrzyła na nią ze zdziwieniem, Joyce otworzyła jakąś szufladę i wyciągnęła z niej plikę listów.

— Proszę cię, Daisy... to są, zdaje się, twoje... listy, które doszły do mnie... Ale bardzo cię proszę, żebyś na przyszłość, nawet dla dodania sobie prestiżu wobec przypadkowych znajomych, nigdy nie brała mego papieru listowego i nie podpisywała listów miłosnych mojem nazwiskiem. *„Paris-Magazine", Paryż.*

Stratosfera wabi śmiałków

(Dokończenie ze str. 6)

wanie stratosferą, że zapoczątkowana została nowa era odkryć.

Rosjanie byli pierwszymi, którzy wznieśli się w stratosferę w poszukiwaniu czegoś więcej niż danych o promieniach kosmicznych. Wzięli ze sobą nietylko zwykłe elektryczne przyrządy, notujące natężenie promieni i kierunek, z którego biegną, ale całą baterję instrumentów, które miały wzbogacić naszą wiedzę o wyższej warstwie atmosfery. Balon, większy niż ich, może pomieścić więcej instrumentów, stwierdzić więcej faktów i dotrzeć możliwie wyżej jeszcze w te wyższe rejony powietrza, kryjące jak już wiemy, cuda tak niezwykłe jak te, które dawni żeglarze odkrywali na nieznanych morzach.

Tak więc balon, zbudowany przez Narodowe Towarzystwo Geograficzne o załodze, składającej się z dwóch doświadczonych oficerów ma objętość 3.000.000 stóp kwadratowych — jest zatem trzy razy większy od tego, na którym Rosjanie osiągnęli wysokość 13 mil. Całkowicie nadęty, kolos ten ma średnicę 180 stóp i może z łatwością pomieścić w swojem wnętrzu jedenastopiętrowy budynek. Zabrano na nim instrumenty ważące tonnę.

Tylko zapomocą całej baterji przyrządów rozświetli się tajemnicę stratosfery. Balon badawczy bez obsługi nie może przynieść więcej danych, niż te, które poznali już dawniej meteorologowie. Poza faktami, o których już mówiłem — jak wysokość, wielkie zimno, cisza, temperatura, lekko podnosząca się wraz z wysokością — niewiele wiemy o stratosferze. Dziesięć różnych hipotez stara się objaśnić każde to zjawisko.

* *
*

Dawniejsi, a nawet współcześni żeglarze okrążali zaledwie kulę ziemską. Atmosfera jest także częścią naszej planety, jak góry, oceany czy bieguny. Sięga na wysokość setek mil; a dotąd potrafiliśmy się wznieść tylko na 20 km. Podobni jesteśmy do tych pierwotnych dzikusów, którzy stali nad brzegami Atlantyku i dziwili się, że woda rozlana jest daleko poza zachodzące słońce. Nie wystarcza nawet zdobycie stratosfery. Już teraz sięgamy wzrokiem poza nią, do tych rozrzedzonych warstw powietrza, gdzie płoną meteory i jutrzenki i gdzie gwiazdy i słońce jaśnieją dniem i nocą na ciemnem, atramentowem niebie.

„Times Magazine", Nowy Jork.

DOWCIPY SOWIECKIE

Likwidacja G. P. U. i utworzenie normalnego min. spraw wewnętrznych zamyka okres strachu i obawy przed wszechwładną policją tajną. Z ubiegłego okresu pismo angielskie przynosi szereg zabawnych anegdotek.

Humor kosztem urządzeń państwowych jest w Rosji karalny, ale wiele anegdot, szeptanych na ucho kursuje pomiędzy klasą pracującą. Po raz pierwszy w Anglji dajemy poniżej wybór kilku z nich.

NIE UTRAFIŁ

Krylenko, oskarżyciel publiczny, prosił swego współtowarzysza podróży, żeby przestał palić, ponieważ siedzi w przedziale dla niepalących. Ten nie zwrócił na to uwagi i palił spokojnie dalej.

Krylenko, zirytowany, podał mu swoją kartę wizytową. Człowiek włożył ją do kieszeni i dalej palił. Na następnej stacji Krylenko poskarżył się jakiemuś urzędnikowi kolejowemu, który zażądał od pasażera, żeby przestał palić, na co ten wyjął z kieszeni otrzymaną przed chwilą wizytówkę Krylenki i pokazał mu ją.

Urzędnik pobladł i poprosił Krylenkę, aby z nim wyszedł na korytarz. Tam wyszeptał przerażony:

— Człowieku, daj temu pokój. To jest przecież krwawy Krylenko i będzie zdrowiej i dla pana i dla mnie, jeżeli zostawimy tego szaleńca w spokoju.

CHIŃSKI REKTOR

Kiedy pewnego razu uwięziono w Pekinie przedstawiciela Sowietów, zatelegrafowano z Moskwy do władz chińskich, że, jeżeli natychmiast nie wypuszczą uwięzionego na wolność, zaaresztowany będzie rektor Chińskiego Uniwersytetu w Moskwie.

Władze chińskie mocno zdziwione, oddepeszowały:

— Kto jest rektorem Uniwersytetu Chińskiego?

— Karol Radek, — brzmiała odpowiedź.

URODZINY ŻONY.

Pewien obywatel moskiewski postanowił urządzić obchód urodzin swojej żony i zaprosić na wieczór kilku swoich najbliższych. W przeddzień urodzin, żona mówi mu: „Czy nie uważasz za wskazane zawiadomić o naszym wieczorku przewodniczącego komitetu domowego?"

— Śmieszne, niema takiego prawa, że powinno go się zawiadamiać o naszych prywatnych sprawach.

— Ja boję się go jednak. Powiedz mu o tem, proszę cię.

Idąc do biura, obywatel wstąpił do przewodniczącego komitetu i powiedział o wieczorku. Przewodniczący był trochę zdziwiony:

— Poco mi pan o tem mówi — powiedział, — przecież nie potrzebuje pan mego pozwolenia.

— Wiem o tem, ale żona tak chciała. Zatem dowidzenia.

— Niech pan poczeka. Czy nie zawiadamia pan policji?

— Sam pan przecież mówił...

— Dobrze, niech pan robi co pan chce.

— A żeby to — zaklął obywatel, wychodząc z domu. Ale do policji poszedł.

Komisarz policji był także bardzo zdziwiony, poradził jednak na wszelki wypadek zawiadomić G. P. U. Obywatel zbladł.

— Zmieniłem zamiar, — powiedział. — Nie obchodzę urodzin żony.

— Proszę zważyć jednak, — rzekł komisarz, — że za dużo pan już rozpowiedział o wieczorku i radzę panu na wszelki wypadek zawiadomić G. P. U. o tem, co pan będzie robił jutro wieczorem.

Nieszczęśnik poszedł do siedziby tajnej policji i po kilku godzinach czekania został przyjęty przez jednego z wyższych urzędników G. P. U., który zaczął go wypytywać szczegółowo o nazwisko, adres, zajęcie, przed i po rewolucji, o przekonania polityczne etc. W końcu zapytał go:

— Czego pan sobie życzy?

— Chciałem panu powiedzieć, że jutro nie urządzam obchodu urodzin mojej żony.

— Czy pan zwarjował?

— Prawdę mówiąc, chciałem je obchodzić.

— Rozumiem, zmienił pan zamiar, ponieważ się pan przeląkł. Powinien się pan wstydzić. Czy nie wie pan o tem, że Rosja jest jedynym wolnym krajem na świecie? Czego się pan boi? Musi pan jutro urządzić wieczorek!

— Dobrze, urządzę.

— Ale pod warunkiem, że jeden z naszych agentów będzie uczestniczył.

— Oh, będzie mi bardzo miło!

— Pana uczucia nic mnie nie obchodzą. A kogo pan zaprosił? Proszę mi dać listę zaproszonych.

Obywatel, drżącą ręką napisał około piętnastu nazwisk swoich przyjaciół i krewnych i ich adresy.

Dygnitarz uważnie przejrzał listę i powiedział:

— Może pan już iść.

— Przepraszam pana bardzo, czy nie mogę znać nazwiska agenta, którego mi pan przyśle? Chciałbym móc przedstawić go żonie i moim gościom.

— Hm, zmieniłem zdanie. Nie przyślę agenta do pana.

— Ależ dlaczego? takbym się cieszył.

Dygnitarz odpowiedział, bardziej oficjalnie niż przedtem:

— Mówiłem panu, że agenta nie przyślę. Niech mnie pan nie nudzi. A zresztą byłoby to i tak zbyteczne, ponieważ z pańskich piętnastu gości, ośmiu jest już w naszej służbie.

PÓKI CZAS

Inny obywatel rzucił się z mostu do wody, ale uratowali go przechodnie. Niedoszły samobójca oświadczył jednak, że nie warto go było ratować, bo i tak się utopi.

— Dlaczego? — pyta wybawca. — Właśnie zaczęła się druga piatiletka i Stalin oświadczył, że po jej upływie wszyscy będziemy zamożni i szczęśliwi.

— Dość mam tych obietnic, — odparł topielec. — Pod koniec pierwszej piatiletki nie można było dostać ani mleka, ani jaj, ani mięsa. Obawiam się że pod koniec drugiej zniknie nawet i woda. Nie, nie mogę stanowczo czekać. Muszę się topić, póki jest jeszcze dosyć wody.

„Sunday Referee", Londyn.



Niezwykle dobry sezon w Londynie

Ankieta przeprowadzona w najpoważniejszych hotelach Londynu, świadczy o doskonałym stanie ich interesów.

„Jeżeli chodzi o listę odwiedzających nas gości", powiedziano w Hotelu Savoy, Londyn, jest obecnie bardziej popularny, niż był kiedykolwiek". Przyczynił się do tego fakt, że tego lata życie nocne w Londynie jest bez porównania żywsze od życia w Nowym Jorku lub Paryżu.

Ludzie bogaci i wysoko postawieni przekonali się, że mogą zostawić swoje troski za sobą i znaleźć prawdziwy odpoczynek w Londynie, jak w żadnej innej stolicy świata.

Wielu bogatych amerykanów w tym roku przywiozło swoje rodziny do Londynu na początku lata. Zostawili je tu, a sami wrócili do swoich interesów przez Atlantyk.

Oprócz gości ze Stanów Zjednoczonych i kontynentu, był w tym roku duży napływ z kolonij, przyczem uderzająca jest w tym roku okoliczność, że Londyn wybierany jest jako miejsce spędzenia wolnego czasu przez ludzi bogatych i ich rodziny, mieszkające na prowincji.

Idzie z tem w parze wzrost obrotów handlowych. Tak naprzykład przemysł krawiecki w West-End obecnie ma obroty o 16% większe, niż ostatniego roku.

KRYZYS MINĄŁ

Przyczyny tego polepszenia sytuacji, wyjaśnił p. A. Bradley z firmy Pope i Bradley, znanych krawców męskich.

— Ludzie — oświadczył on — uważają, że chude lata już należą do przeszłości i że mogą obecnie lepiej się ubierać.

Co więcej, goście z zagranicy znowu się przekonali, że ubrania angielskie są najlepsze w kroju i w materjale.

Inna miarodajna pod tym względem osoba, Mr. Edward Symonds, prezes i naczelny dyrektor Reville, Ltd. i prezes British Fashions and Fabrics Bureau, oświadczył co następuje:

— Nie jestem z tych, którzy wierzą, że Paryż może wogóle być zdetronizowany jako główna kwatera mody. Jednakowoż znaczenie Londynu, jako ośrodka twórczego, bezsprzecznie zwiększyło się w ciągu ostatnich kilku lat.

Wierzę, że Londyn w najbliższej przyszłości zdobędzie tak wielki wpływ na międzynarodowy świat mody, jak Paryż.

Jednym z wyników jest fakt, że wiele poważnych firm paryskich zainstalowało się w Londynie.

W znacznej liczbie innych branż — w branży jubilerskiej, np. położenie jest takie same. Interesy są znacznie lepsze, sezon był bardzo dobry.

„The Sunday Referee". Londyn.

Paryż w sierpniu

Życie kulturalne stolicy Francji nie zamiera ani na chwilę. Nawet w okresie letnim, gdy tyle osób ucieka na łono przyrody, muzea paryskie organizują cały szereg pięknych i ciekawych wystaw.

Musée de l'Armée — Armja francuska w ciągu wieków.

Musée d'Ethnographie (Palais de Trocadéro) — Wystawa poświęcona pustyni Saharze: święty taniec, sztuka na wyspach Markizy, piękna kolekcja fotografji z polinezji francuskiej, narody wyspiarskie i ich obyczaje.

Musée Galliera — szkło, mozaika, emalja.

Musée de l'Orangerie — wystawa pamiątek po generale La Fayette.

Musée de sculpture comparée (Palais de Trocadéro) — Męka Pańska w sztuce francuskiej.

Sainte Chapelle (Palais de Justice) — druga część wystawy Męki Pańskiej w sztuce francuskiej.

Sèvres — życie francuskie ilustrowane w ceramice.

Maison de France (101, Av. des Champs Elysées) — wystawa poświęcona turystyce i wyrobom regjonalnym.

Informacje: Przedstawicielstwo Kolei Francuskich w Polsce, Warszawa, Ossolińskich 4, telef. 684-85.

Życie prywatne władców

(Dokończenie ze str. 3)

towym bułgarem. W przeciwieństwie do innych władców bałkańskich, Borys ujrzał świat na tej ziemi, którą miał rządzić w przyszłości. Mowy ojczystej nauczył się, będąc dzieckiem. Dzielił los prostego żołnierza w czasie wojen bałkańskich i ostatniej zawieruchy światowej.

To samo już wystarczyło dla zdobycia popularności. Do tego dołączył się jeszcze instynkt demokratyczny, tak znamienny u tego władcy: chętnie przystaje i prowadzi rozmowę z swoimi podwładnymi, tak, że wygląda, jakby znał na pamięć wszystkich obywateli swego państwa.

Przyjaciół swoich i znajomych nazywa zazwyczaj zdrobniale, po imieniu. Borys zna wszystkich szoferów i konduktorów Bułgarji. Największą przyjemnością dla niego jest: być razem z nimi, w niebieskiej bluzie robotniczej, zabrudzonej oliwą i smarami.

Jak ognia unika pompatycznych przyjęć i parad, i choć liczne zdjęcia przedstawiają go w mundurze wojskowym, faktem jest, że czuje się w nim skrępowany. Lubi za to mknąć samochodem polnemi drogami, w skromnem ubraniu cywilnem, najchętniej sportowem. Często wybiera się incognito na wieś lub do miasta i to mu pozwala zaznajamiać się zbliska z problemami państwowemi.

Wywczasy letnie spędza para królewska najczęściej zagranicą i odbywa podróż pod przybranem nazwiskiem Rylski. Jeżeli nie jest to sprzeczne z interesem państwa, unikają chętnie szumnych przyjęć nawet ze strony własnych krewnych. Przyczyną nie jest tu wyłącznie wrodzona skromność królewskiej pary, ale i szczupłość ich funduszów dyspozycyjnych.

Stosunek króla do zajmowanego przez niego stanowiska jest taki sam, jak u jego dziadka Wiktora Emanuela III-go króla Włoch: „w gruncie rzeczy jestem czemś w rodzaju stałego podsekretarza stanu, gotowego przyjść zawsze z pomocą ewentualnemu ministrowi". W przeciwieństwie do swego ojca, króla Ferdynanda, Borys jest raczej dziedzicznym prezydentem niż królem.

„Les Annales", Paryż.

Redakcja: Warszawa, Króla Alberta I Nr. 3, tel. 2-33-19, czynna w poniedziałki godz. 18—19. Konto P. K. O. Chronos Nr. 14-9-46.

Administracja: Warszawa, Króla Alberta I Nr. 3, tel. 2-33-19, czynna codziennie 10—13. Prenumerata w kraju: mies. 1 zł. 60 gr., kwart. 4 zł. 80 gr.; zagranicą mies. 3 zł., kwart. 9 zł. Ogłoszenia: za wiersze 1 mm. szerokości 1 szpalty 70 groszy, za tekstem; 90 groszy w tekście.

Redaktor odpowiedzialny: Michał Sass. **Wydawca: Wydawnictwo „Chronos" sp. z o. o.**

Druk. „Monolit", Warszawa, ul. Elektoralna 3, tel. 5.81-92.